

665 RODZICE

nie mieli żadnego wpływu na to, że zostałam aktorką. Nie widzieli nawet nigdy mojego szkolnego zeszytu. Zawsze się nieźle uczyłam. Gdy zdałam do Liceum Plastycznego byli bardzo zdziwieni. Skończyłam Liceum Plastyczne, myśleli, że idę na polonistykę. Nie powiedziałam, że wybieram się do szkoły teatralnej. Wyjeżdżaliśmy z mamą i siostrą na wakacje. Poprosiłam, abymy przejechali przez Miodową, bo muszę coś zobaczyć... Zobaczyłam, że zdałam, ale nie powiedziałam. O tym, że idę do szkoły aktorskiej, powiedziałam dopiero na wakacjach. Mamy to specjalnie nie zainteresowało. Mój ojciec nie był w teatrze do dzisiaj.

Bardzo długo mieszkaliśmy bez rodziców, ale gdy urodziłam dwoje dzieci, wzięłam ich do siebie. Ojciec czeka na mnie co wieczór i robi awantury, że późno wracam. Mówię, że mam taki zawód, a on twierdzi, że przeze mnie nie spi. Gdy jestem w Telewizji pytam się go - widziałeś? - Nie, zasnąłem w połowie. Gdy dostałam „Złotą Palmę” i przyjechałam do domu, powiedział, że przypominał sobie, iż też grał. Może miał 16 lat. Na warsztatach mieli takiego kierownika, który zrobił spektakl. Ojciec dostał główną rolę. Nazywało się to „Żywy nieboszczyk” - jak mówi ojciec. Oczywiście „Żywy trup”. Grali chyba fantastycznie, bo pojechali w objazd. Mama chodzi do teatru. Gdy zapytam, jak wypadłam mówi: ładnie...

PREMIERA

filmowa i teatralna to dwie różne sprawy. W filmie przychodzi na plan, kręcimy nie po kolei, dwie, trzy minuty dziennie. Na rolę składa się praca około 150 osób. Ja nie jestem autorką tego, co jest na ekranie. Są nożyczki reżysera i montażyści. To, że coś gram, nie oznacza, że wejdzie to do filmu. Premiera jest więc dla mnie zaskoczeniem, ponieważ nie uczestniczę w montażu.

Natomiast premiera teatralna to zupełnie coś innego. Aktorzy bardzo różnie reagują. Znam takich którzy mają tremę demobilizującą, nie mogą wyjść na scenę. Ja mam tak zwaną tremę mobilizującą, uwielbiam premiery. Od rana drżą mi ze szczęścia nogi, ze wyjdę i pokażę nową rolę. Jeśli nawet do końca nie umiem tego jeszcze zagrać, to wiem, że założenia ogólne i to co chcę pokazać, jest mi bliskie; że opowiem jakąś historię, jakąś myśl albo nawet jedno zdanie, które jest nowe.

Oczywiście zdarzają się premiery jak moja „Medea” w Teatrze Powszechnym, kiedy wiedziałam, że sztuka jest robiona dla mnie. Reżyser Zygmunt Hübner wszystko ustawił tak, że byłam centralną postacią. Był to mój

MAM HOBBY, A NIE ZAWÓD

- MÓWI KRYSZYNA JANDA

monodram w otoczeniu chóru. Przez godzinę dwadzieścia minut bez przerwy. To już nie jest normalne granie, to tak wysoka nuta, tak wysokie emocje, jakby wykonanie arii operowej, która trwa godzinę i dwadzieścia minut. Nie wolno się pomylić, nie wolno sfałszować. Nie opuszczałam sceny. Tylko na chwilę zbiegałam. Przebierano mnie i wyjeżdżałam na zapadnię w dymach. Reżyser użył wszystkich środków teatralnych naraz. Czarna dekoracja, pochyla scena, chóry śpiewające za mną, kurtyna świetlna, kurtyna dymna. Pogłos. Muzyka napisana i wykonywana na żywo przez Józefa Skrzeka. Myślałam, że zwariuję, że tracę zmysły przed samą premierą, że oszaleję. Odbiło się. Nie zwariowałam. Była to moja najwyższej oceniana przez krytykę rola teatralna.

Kiedy gram „Shirley Valentine” albo „Kotkę na blaszanym, gorącym dachu”, to jest to ten gatunek opowieści, że zawsze mogę wybrnąć, ale w wielkich rolach tragicznych nie można zrobić nic, co by było przeciwko tej postaci. Gra się na najwyższych stopniach emocji i każdy błąd przekreśla to, co się do tej pory robiło. W „Shirley” co wieczór improwizuję. Wszystko zależy od tego, jaka jest publiczność. To zupełnie inna umiejętność konstruowania na nowo spektaklu. Opowiadanie tej samej historii, co wieczór inaczej. Bardzo lubię taką literaturę i takie rzeczy grać. W czasie kiedy „Medea” była w repertuarze, w domu leżałam często oparta o stół i bardzo to przeżywałam. Moja córka mówiła: - Idź już do tego teatru, bo patrzeć na ciebie nie można. Idź i tam sobie przeżywaj...

JAKO REŻYSER

po pierwsze czuję się wspaniale, a po drugie strasznie. Pierwszy raz mogę realizować coś do końca. Nigdy nie byłam aktorką, którą myśli tylko o swojej roli. Moje konflikty z reżyserami polegały na tym, że ja widziałam to jakby z zewnątrz. Wszyscy mówili: - Ty masz duszę producenta. Kiedyś grałam w spektaklu „Silniejsza” Strindberga w reżyserii Andrzeja Wajdy. Miałam śpiewać kolędę, ale nie byłam w dobrej formie. Zadzwoeniłam do mojej przyjaciółki i powiedziałam: - Krysiu, są dzisiaj moje urodziny. Zaśpiewaj za mnie kolędę, ale nie dajmy twojego nazwiska. Dasz mi swój głos w prezencie. Zgodziła się, nagrała kolędę. Powiedziałam to Wajdzie mówiąc, że w spektaklu zagram, a do kolędy dogram playback. Był przerażony. Powiedział, że nie zna drugiej aktorki, która zgodziłaby się poprosić koleżankę, aby za nią zaśpiewała. Ja po prostu myślałam o całości. Uważałam, że to musi być fantastyczne przedstawienie, a żeby tak było, to musi być dobrze zaśpiewane. Ponieważ nie potrafię, to nie udaję.

Premiera mojego debiutu reżyserskiego w Teatrze Telewizji będzie 8 stycznia, „Hetta Gabler”. To moje ukochane dziecko. Chciałabym, żeby coś się stało w Telewizji i żeby w tym czasie nadawano tylko program pierwszy, a jak będzie na drugim „Przystanek Alaska” to ja popętnie harakiri. Nie zniosę tego. Wyjdę na ulicę. Będę krzyczeć...

Żebyście wiedzieli jak mi żal aktorów, bo ja jestem potworem nie reżyserem. Ja wszystko wiem. Wszystko mam w głowie... A jeszcze musiałam być miła, bo to są moi koledzy. Musiałam udawać małą kotkę, kretynkę... Bo jeśli nie

zagrałoby tak jak chcę, to mi się zawali całość. Bo ja mam rytmy przedstawienia w głowie, barwę głosu... Mam wszystkie role zrobione. Mieli ze mną okropnie. Ja wiem czego chcę. Mogłam też namawiać ich środkami niekonwencjonalnymi, choć kosztuje mnie to mnóstwo wysiłku, a poza tym nie wiedziałam, że aktorzy są tacy okropni. Potrafili do mnie zadzwonić w nocy i powiedzieć, że inaczej wszystko widzą. Ja w życiu nie zadzwoniłam do żadnego reżysera, tym bardziej w nocy. Ustalałam wszystko na planie. Oni dzwonili. Mówili, że nie mogą spać. Uważają, że reżyser to jest jakiś opiekun.

WAŻNIEJSZY

od „Przesłuchania” jest „Człowiek z marmuru”. Od tego się wszystko zaczęło. To moja wizytówka. „Przesłuchanie” jest jednak jedyną rolą, którą akceptuję w całości. Inne zawierają taką ilość błędów, że nie ma o czym mówić.

RAFAŁ

Chłopca grającego w „Kochankach mojej mamy” wybraliśmy spośród 400 dzieci, które przyszły na zdjęcia próbne. Rafał był dzieckiem, któremu mama poświęcała bardzo dużo uwagi. Na początku nic nie można było nakręcić, bo siedziała na planie. Od momentu gdy zniknęła, a ja zaczęłam mu zjadać śniadania, polubił mnie. Myślę, że go nawet trochę uwiodłam. Gdy mnie przez trzy dni nie było na planie i grał sam, okazało się, że jest niemal zawodowcem. Był problem ze sceną placzu. Nie mógł tego robić. Zapytał: - Jak ty płaczesz? - Wkładam sobie glicerynę na palec i wcieram do oka, ale to potwornie boli. Po latach mam oczy uodpornione. Zamykam ją i mówię - już. Kamery się włączają i kręcimy. A lzy lecą. Rafał poprosił o glicerynę. To tak jakby ogień do oka włożyć. Płakał przez pół dnia. Nie mogliśmy nic nakręcić. Potem powiedział daj. Zrobił i zagrałiśmy.

MARYSIA

Sceny, gdy moja córka stoi nago na dachu w filmie „Odmienność uczuć”, wcale nie zauważyłam. To nie miało żadnego znaczenia. Nie czytałam scenariusza i nie chciałam go czytać. Pamiętam jednak, że w noc poprzedzającą tę scenę przyszła do mnie i powiedziała, mamო przeczytać tę scenę i powiedz, co ja mam zrobić. Powiedziałam jej, co za problem... Jakie rekvizyty są potrzebne? Macie jakieś ubrania, koc? - No to jak zerwiesz się to weźmiesz koc i koniec. Ale co to ma za znaczenie. To jest zawód. To nie ma nic wspólnego z prywatnością. I powiem coś jeszcze. Ja jestem bardzo wstydliva. Na dancingu nie zatań-

czyłabym nigdy w życiu ze wstydu. W roli mogę zrobić wszystko. Nawet zatańczyć nago na dachu. Frować. To nie ma nic wspólnego z tym, kim ja jestem prywatnie. W tym zawodzie, gdy rusza kamera to nie jestem już ja. To już ta postać. Nie mam z nią nic wspólnego.

Marysia nigdy nie chciała być aktorką. Bo to taki zawód, który jest oceniany natychmiast. Można być całe życie złym lekarzem i nikt może się nie zorientować, ale o aktorze po trzech sekundach wiadomo czy jest dobry, czy zły. Publiczność to natychmiast ocenia. Gdy Marysia widziała moje stressy mówiła, że nigdy nie będzie aktorką. Nie chodziła do teatru, nie chodziła do kina, bo ją to nie interesowało. Będąc dzieckiem odmówiła zagrania w kilku filmach. Gdy miała 11 lat, Piwowarski namawiał ją aby zagrała tę dziewczynkę w „Kochankach mojej mamy”. Powiedziała krótko: - Bardzo przepraszam, ale to nie wchodzi w rachubę. Nagle chciała zarobić pieniądze na wakacje i zgodziła się na „Uczucia”. Po drugim dniu zdjęciowym widziałam, że to jest choroba. Mówiła, że to fantastyczny świat i chce w tym świecie być. Wiedziałam, że straciłam dziecko. Dziecko, które kompletnie nie zna polskiej literatury, które chciało być lekarzem bez granic. Miała inne ideały.

Ten zawód ją porwał. Wyprowadziła się z domu. Jest studentką I roku szkoły teatralnej. Jaką będzie aktorką nie wiem. W tym zawodzie nie ma sentymentów. Jeśli będzie dobrą aktorką to z największą radością coś z nią wyreżyseruję. Dziś moim zdaniem talentem jakiego nie było od 30 lat jest Agnieszka Kruk. Grała kiedyś Jankę, a dziś to już dojrzała aktorka. U mnie gra panią Elsted. Dla mnie istnieje tylko Agnieszka. To jej chcę przekazać wszystko co wiem i umiem.

Moim największym sukcesem jest to, że Marysia teraz, gdy weszła w to środowisko, dopiero zdała sobie sprawę, kim ja jestem naprawdę. Przedtem nie miała zielonego pojęcia jaka jest moja pozycja. Chroniłam ją przez 19 lat. Gdy mój syn Adam był ze mną w Katowicach i zauważył, że wszyscy się za mną oglądają, nie miał kompletnie świadomości, że jestem osobą znaną i popularną.

ROLE DLA MNIE I NIE DLA MNIE

Największe role to te, które wyrwałam na siłę. Rolę w „Przesłuchaniu” wyrwałam na siłę. Powiedziałam Wajdzie, żeby mi to załatwił, bo umrę. Jako szef zespołu zgodził się na zrobienie filmu bez cenzury, pod warunkiem, że ja zagram główną rolę. Wtedy to był naprawdę akt odwagi. On za to prywatnie odpowiadał. Wydał pieniądze państwowe na coś co całkowicie nie miało zgody. Druga rola, która nie była dla mnie napisana to ta z „Kochankach mojej mamy”. Wajda powiedział Piwowarskiemu, żeby zaufał mi. Gdy przed laty angażowałam się w „Ateneum”, dyrektor Warmiński zapytał jakiej roli bym nie chciała zagrać. Powiedziałam, że Anieli w „Ślubach panińskich” i Ofelii w „Makbecie”, bo nigdy nie byłam naiwnym kwiatuszkiem. Debiutowałam jednak jako Aniela.

HUMANISTKA

Nigdy nie żyłam według jakichś recept czy ideałów. Myślę, że moja



dominującą cechą jest zachłanność na życie. Nigdy nie miałam marzeń. Biorę to, co przynosi mi los i robię z tego użytek. Jestem człowiekiem sukcesu. Niczego jednak nie robię jeśli coś nie zawiera pierwiastka humanizmu. Nienawidzę destrukcji! Wybieram rolę, bo za dużo mnie ten zawód kosztuje, żeby grać tylko postaci ze Strindberga czy Przybyszewskiego. Jest to jakiś kabotynizm czy infantylizm z mojej strony, ale bez tego nie byłabym aktorką jaką jestem, bo mam wszystko na wierzchu. Jestem otwarta.

UMIEĆ SIĘ ODDZIELIĆ

W tym, co ja robię, jest coś poza zawodem. Gdy wychodzi się z budynku teatru, trzeba umieć się oddzielić, to duża sztuka. Osiemdziesiąt procent aktorów tego nie wytrzymuje. Nie mogą wyhamować po wyjściu. Po brawach nie są w stanie zapomnieć. Ta piana musi trwać. Potrzeba akceptacji przywiązana do zawodu jest tak straszna, że są gotowi za to oddać wszystko. Nie każdy to zrozumie. Dlatego jest tak wiele tragedii. Ja jestem osobą silną psychicznie. Wszystko muszę racjonalnie obejrzeć i ułożyć.

Gdy myślę o moim pierwszym małżeństwie, to nie wytrzymałabym tego napięcia. Od 17 lat jestem z mężczyzną, który precyzyjnie rozumie moje problemy, potrafi reagować odpowiednio, jest dla mnie oparciem, On mnie kocha naprawdę. On się pyta czasem: - To ty nie masz problemów zawodowych? - Przy tobie nie mam.

UWIELBIAM PUBLICZNOŚĆ I SCENĘ

Moim zdaniem nie można mieć sukcesów w tym zawodzie, jeśli się nie zrozumie kim się jest i tego się nie zaakceptuje. Bo jeśli ktoś wyobraża sobie, że jest jak Michelle Pfeiffer, albo śpiewa jak Barbra Streisand, a zupełnie jest inaczej, to zaczyna się dramat, który z latami się powiększa. Trzeba siebie pokochać, być w zgodzie z sobą. Ja się nie boję tego zawodu, bo uwielbiam być na scenie. Nawet jakby bomba runęła na teatr, będę grać dalej. Oczywiście z uwzględnieniem bomby. Uwielbiam trasę. Uwielbiam jeździć. Jadą za mną dekoracje, muzyki. Nowe miasta. Nowi ludzie. Nowe role. Nigdy nie jestem zmęczona, bo kocham publiczność, a moi koledzy nienawidzą. Oni mówią - znowu przyszedł, a ja pytam - stoją? Jak nie stoją to jestem chora. Ja nie mam zawodu, ja mam hobby. Trzeba do tego dążyć, aby zawód był pasją. Bo czas ucieka. Mam 42 lata. Miałam siedem mieszań, dwa małżeństwa, mam troje dzieci. A ile ról, ile nocy przeplakanych, ile radości, ile miłości. Nie można stracić ani dnia.

Spotkanie z Krystyną Jandą odbyło się podczas seminarium „Młodzi i film” zorganizowanym przez Dyskusyjny Klub Filmowy „Dziesiątka” przy X LO w Poznaniu.

Marek ZARADNIAK